

Ławeczka Józefa Barana (15)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

U wielkich ludzi wszystko jest wyolbrzymione, także skąpstwo, obżarstwo, cechy negatywne...

Jestem jeszcze wciąż młody, skoro, gdy poznaję kogoś, kto wydaje mi się ciekawy, mam tyle nadziei z tym związanych. O wiele za wiele... Początki znajomości, pierwsze spotkania, bywają niekiedy tak intrygujące, bo są w nich jakby potencjalne załączki na spełnienie wszystkiego. Oto jeszcze raz wkładam w pierwsze spotkanie całą swoją wyobraźnię, mieszam ją z wątlą (na razie) realnością, myśli ze słowami, słowa z czynami. Chciałbym coś pomyśleć, żeby to natychmiast się stało. To może stać się w poezji, w życiu realna wersja jest zawsze uboższa od wyobrażonej. W pierwszym spotkaniu np. z ładną dziewczyną jest jeszcze wersja nie zubożona o żadne fakty, o żadną realność. Scenariusz wyimaginowany, idealny. Kocham pierwsze spotkania, podróże do nowych krajów (podróż to młodość, w której może się wszystko wydarzyć)... Nienapisane wiersze... Miłość niemożliwa, myślenie o tej miłości... Jest w tym wszystkim jakaś niedojrzała nadzieja, ale czy poezja to dojrzałość?

Polska jest wciąż młodym obiecującym poetą – niespełnionych nadziei, oślepych jasnowidzeń, niedorozwiniętych skrzydeł – aspirującym do wielkości, choć po cichu zazdrości, spełnionym „dojrzałym” krajom. Wciąż wychodzimy z siebie, lecz rzadko kiedy dochodzimy do celu... Trwamy w zawieszaniu...

...Spotkanie pisarzy w Domu Polonii z ministrem Krawczukiem. Wystąpienia J.J. Szcze-

pańskiego i profesora J. Błońskiego, sztandarowych postaci krakowskiej opozycji. Julian Kawalec, który ma wszczepiony gen zgody i ze wszystkimi chciałby żyć dobrze, zdenerwowany, długo przygotowuje się do wystąpienia, a kiedy próbuje go pocieszyć i dodać mu ducha, mówi do mnie: „Wolałbym orać u siebie we Wrzawach ziemię. Ja się nadaję do orania, a nie do przemawiania między tymi profesorami”.

Rzeczywiście, w końcu się spalił i wypadł blade. Utknął w pół myśli i zjadła go nadwrażliwość. Ja powiedziałem swoje o sytuacji pisarzy, dla których najważniejsza jest literatura, a nie politykowanie, i którzy nie są objęci ani mecenatem dolarowym, ani złotówkowym w tych francowatych (nie mówiłem, że „francowatych”) czasach.

To mówi o poezji Eliot, wydawca się tak sterylnie uniwersalny:

„Każdy naród posiada własną poezję (...) różni się ona od innych dziedzin sztuki tym, że dla narodu mówiącego językiem poety, ma znaczenie, jakiego nie może mieć dla cudzoziemców (...) malarstwo i muzyka są łatwiejsze do wnikięcia dla obcokrajowców”.

„Poezja zajmuje się wyrażaniem uczuć, wzruszeń mających charakter partykularny, podczas, gdy myśl jest powszechna. Łatwiej jest w obcym języku mówić, niż odczuwać. Przeto żadna sztuka nie ma tyle zawartości narodowej co poezja”.

„Poezja jest przypomnieniem tego wszystkiego, co wyrazić można tylko w jednym języku i co jest nieprzetłumaczalne”.

„Tym różni się pisarz dziwak lub szalony od prawdziwego poety, że pierwszy może doznawać uczuć niezwykłych, wyjątkowych, lecz których dzielić z nim nie można a przez to bezużytecznych, drugi zaś odkrywa nowe odmiany wrażliwości, które przyswoić sobie mogą inni (naród)”.

Ja zamieniłbym słowa „poeta szalony” na – po prostu – „narcyzowaty”, a czasem „grafoman” onanizujący się własnym pisaniem...

A poezja? To źródło wciąż odnawialnej energii językowej narodu...

Porządny burdel

Ulubione, komiczne powiedzenie poety Andrzeja W. na cyku, będące oskarżeniem systemu, w którym żyjemy:

„No i patrz, kurwa, co ja takiego w peerelu użyłem?”.

Nawet w porządnym burdelu nie byłem!...”.

Bunt kaloryferów

W klubie Kuźnica spotkanie z Adamem Michnikiem, który bardzo dowcipnie skomentował nadchodzący – według niego – krach komunizmu. Zmierch komunizmu to „bunt kaloryferów”, które nie chcą grać, drzwi, które nie chcą się otwierać, pociągów, które regularnie się spóźniają. Nie pomogli

zomowcy Kiszczaka, próbujący „spałować” kaloryfery. Komuniści muszą wcześniej czy później oddać władzę...

7-8 października

W Warszawie u Artura Sandauera. Między jedenastą a dwunastą w nocy spacer po parku z kosturami („na wszelki wypadek”, „od razu człowiek czuje się lepiej”). Artur wywija młyńca rączką kostura, muszę uważać, żeby mnie nie walnął. Rozmowa o „onizacji”, która była przed wojną obłożona „kłątwą”: „Bruno Schulz prawdopodobnie był onanem, z tego powodu miał też poczucie winy”.

Rozmowa o Mallarmem, który pracował dwa lata nad jednym sonetem. – Symbolizm europejski (francuski) był szczytem poezji – chrząka Artur – „Od tego czasu można było być już tylko gorszym. Albo... znaleźć inny sposób: stąd futuryzmy i różne -izmy, rozbiieranie tego doskonałego zegarka tradycyjnej formy”.

Błądzimy pod gwiazdami. Rozmowy o Piccundzie (Gruzja), gdzie był dwa tygodnie.

Na drugi dzień w aucie: „Myślenie ogranicza się dziś do prac magisterskich, a sztuka do fikołków”. Usiłuję spierać się z nim, że jest to zjawisko ogólnosiwiatowe. Proces nieunikniony: – W Ameryce jest jeszcze gorzej, tam w ogóle nie chcą czytać... – Nie wiem jak jest w Ameryce, wiem jak jest u nas – pochrząkuje w swoim zwyczaj.

Są dni, gdy człowiek budzi się z poczuciem pustki i jałowości życia, jakby mnie nieznanymi sprawcami przysypali kurzem, darnią, żywcem w grobie, a ja nie mogę w żaden sposób udowodnić, że jestem żywy, choć wykonuję codziennie tysiąc zbędnych czynności...

Parę powiedzonek Artura: „Historia nigdy się nie kończy”, „Wszystko dąży do entropii”, „Wiarę się miewa od czasu do czasu”, „Wierzącym się bywa” (parafraza Przybosa – „Poetą się bywa”)...

cdn.

